List do Matki Boskiej.

Smutny widok przedstawiało przedmieście Warszawy, Pragą zwane, w roku 1844. Zatarła się już wprawdzie poczęści w pamięci ludzkiej straszna rzeź, jaką przed pięćdziesięciu laty sprawił Pradze osławiony okrutnik Suworów, jenerał moskiewski, który spoiwszy żołnierzy czystą okowitą z hiszpańskim pieprzem, rozkazał im wyrznąć wszystkich bezbronnych mieszkańców nieszczęśliwego przedmieścia, a domy spalić.

Dziś właśnie 4 listopada przypadała pięćdziesięcioletnia rocznica rzezi; Praga odbudowała się po pożarze, zaludniła po mordach, ale po większej części domki przedmieścia są niepozorne, a mieszkańcy biedni.

Ponury dzień listopadowy, zimny wicher północny przejmujący do kości, deszcz na pół ze śniegiem rozlewający się na ulicach w duże kałuże, posępny sprawiały widok i smutne przywodziły na pamięć wspomnienia.

Wśród zapadającego zmroku, szedł ulicą szybkim krokiem, wysmukły i blady chłopczyna, liczący lat siedm, choć sądząc ze wzrostu, można go było wziąć za starszego. Twarzyczka dziecka była drobna,

o pięknych delikatnych rysach, ale wychudła i wynędzniała. Tylko prześliczne szafirowe oczy, jaśniejące blaskiem niewinności i roztropności, ożywiały to smutne oblicze, a ciemne, bujne, lekko wijące się i jakby złotem posypane włosy, były całem bogactwem chłopczyka.

Ubranie jego, jak na zimną późnej jesieni porę, było więcej jak niedostateczne. Krótkie ledwo do kolan sięgające spodeńki, kiedyś aksamitne, dziś były wyszarzane i tak zniszczone, że ledwo się w kupie trzymały; tak samo było z bluzką z jakiegoś lekkiego materyału, na której widniały niezliczone łatki i zasnucia. Szyja tylko dziecka zabezpieczona była ciepłą, białą chusteczką, której długie końce wiatr unosił; podarte pończochy i rozlatujące się trzewiki dopełniały tego nędznego ubrania.

Chłopiec szedł szybko i usiłował zsiniałe rączęta schować przed zimnem: to je kładł w kieszenie, to chował za bluzkę, to w rękawy, ale wszędzie snać było zimno, bo wyjmował ręce po chwili szukając dalej innego schronienia, lecz zawsze bezskutecznie.

Biegnąc tak znalazł się nareszcie pod wysokim murem jakiegoś ogrodu. W murze widać było drzwi, a tuż obok nich okno, w którem jaśniał napis czerwonym atramentem napisany na karcie białego papieru: »Mateusz Wojdyga, pisarz«.

Chłopczyk zatrzymał się przy oknie, popatrzał w nie chwilkę, posunął się ku drzwiom, drżącą od zimna i wzruszenia ręką przycisnął klamkę i wszedł do izby. Była ona przytulona do muru okalającego

duży ogród, własność jednego z bogatych mieszkańców Warszawy. Twarde, wązkie łóżko pod ścianą, szafa, szafka, kufer, stolik przy piecu, drugi przy oknie, trzy krzesła i stary fotel skórą obity, stanowiły całe umeblowanie mieszkania. Ozdobą zaś jego był krzyż wiszący w głowach łóżka i obrazek Najśw. Panny Częstochowskiej; dalej na ścianie wisiała szabla i para pistoletów, a nad kominkiem duży portret Napoleona I.

Mimo ubóstwa mieszkania, widoczny był wszędzie ład i czystość niezwykła, bo pan pisarz Mateusz Wojdyga był stary Napoleoński żołnierz, który z tym bożkiem wojny Napoleonem I zwiedził całą Europę, a nawet był w Afryce. Po upadku wielkiego wodza, pan Mateusz, nie mając majątku i nie umiejąc żadnego rzemiosła, a posiadając dość dużo wiadomości i piękny charakter pisma, został pisarzem ludowym. Izdebkę przy murze pozwolił zamieszkać panu Mateuszowi właściciel ogrodu, gdyż kiedyś służyli razem w wojsku i niejedno wspólnie przebyli niebezpieczeństwo.

W chwili, kiedy biedny chłopczyna wszedł do izby, stary żołnierz siedział w ciepłym kożuszku, z okularami na nosie, pod oknem przy stoliku, na którem oprócz lampy, poukładane były w wielkim porządku książki, papiery i różne przybory do pisania; pan pisarz był pochylony i pisał coś pilnie.

Chłopiec pochwaliwszy Pana Boga, stanął przy drzwiach zmięszany i milczał. Pan Mateusz podniósł głowę, popatrzał na niepozornego gościa i spytał grubym głosem:

— Co to powiesz mały?

Ale chłopak, czy to przestraszony ogromnemi wąsami i marsowatą, naznaczoną dwoma bliznami, twarzą wojaka, czy też z natury nieśmiały nic nie odpowiedział; więc pisarz powtórnie zawołał, lecz już z widoczną niecierpliwością:

— No cóż to? Czyś niemy, czy głuchy? Nie słysz o co ci się pytam?

— Ja chciałem prosić... ja... żeby mi... żeby pan... — jąkało się dziecko.

— Żeby ci list napisać; tak?

— Tak.

— A cóż ty wielki człowieku masz za interesa? Ale mniejsza z tem — dodał pan Mateusz — list kosztuje półzłotka.

Chłopiec się zaczerwienił i łzy stanęły mu w oczach.

Spostrzegł to stary żołnierz, a choć życie w obozie, krwawe walki, a na starość wojna z biedą i kłopot o kawałek chleba nie usposabiały do tkliwych wzruszeń, to przecież żal mu się zrobiło malca.

— Nie masz pieniędzy, co? — zapytał.

— Nie mam — brzmiała cicha odpowiedź.

— No, arkusz papieru mnie nie zuboży — rzekł po chwili pan Mateusz, odkładając zapisane karty, a sięgając po pudełko, w którym był stos czystego papieru.

— Pewnie chcesz kogo o co prosić — ciągnął dalej, spojrzawszy na nędzne odzienie dziecka — dobrze, napiszemy tak, że papieru nie zepsuję na próżno.

— Tak; ja chciałem prosić — zaczął ośmielony mały, ale mu stary przerwał:

— Zaraz, zaraz; pierw trzeba przygotować wszystko. Widzisz, tak — i to mówiąc, wyjął arkusz papieru, przyjrzał mu się pod światło, położył na podkładce, wygładził palcami, następnie sięgnął po pióra; obejrzał kilka, spróbował na paznokciu czy nosek dobrze przycięty, a wreszcie umaczawszy pióro w wielkim, ze zielonego szkła, kałamarzu i wymawiając głośno:

— Wielmożny Imci Panie Dobrodzieju — jął pisać powoli.

— To nie pan — szepnął nieśmiało chłopiec.

— A więc, pani!

— Nie.

— Jakto nie? Nie pan, nie pani, więc tedy któż? Jakże?

— Ja nie wiem, jakby...

— Co! nie wiesz do kogo chcesz pisać? Czy to smyku jeden, na żarty tu przyszedłeś? — krzyknął groźnie pan Mateusz.

— Ach! panie! — jęknął mały gość i łzy strumieniem z ócz mu się polały.

— No, no, już dobrze; ino nie becz, do milion kartaczy, bo tego strasznie nie lubię, czyś to baba? No, no, już zgoda. Ale mi musisz powiedzieć do kogo to chcesz pisać?

— Do Matki Boskiej.

Pan Wojdyga odłożył pióro. Był on niegdyś walecznym żołnierzem, kochał gorąco Ojczyznę, wielbił Napoleona I, a obecnie był poczciwym człowiekiem, lecz wielką pobożnością nie odznaczał

się nigdy. Więc też życzenie dziecka wydało mu się czemś niepojętem i tak jakoś dziwnem, że je za żart chyba poczytać był gotów. Zmarszczył więc czoło i ostro spojrzał na chłopca, a rękę wyciągnął w kierunku kołnierza; lecz malec był tak przerażony, drżący i tak niewinną miał twarzyczkę, że posądzenie o żart natychmiast upadło. Po chwili też, zamiast za kołnierz, wziął pan Mateusz dziecko za rękę i łagodniejszym już głosem zapytał:

— Powiedz mi jeno kochanku, jak się nazywasz i co robią twoi rodzice?

Chłopczyna zamiast odpowiedzi, przycisnął spieczone gorączką usteczka do ręki starca i głośnem wybuchnął łkaniem. Pan Mateusz gładził miękie i lśniące jak jedwab włosy małego i milczał, tylko wąsami poruszał, czoło i brwi marszczył, aż opanowawszy wzruszenie spytał:

— Nie jesteś ty głodny?

— Ach! tak... bardzo... — szepnęło cicho biedactwo.

Wojdyga postękując, wstał jednak jak mógł najspieszniej i jął krzątać się około kolacyi. Nastawiwszy samowar, nakrył stolik, postawił na nim zimne mięso, chleb, masło i szklanki. Potem posadził za stołem swego niezwykłego gościa, nalał mu gorącej herbaty i zachęcał do jedzenia. Chłopiec jadł tak chciwie, aż się pan Mateusz zatrwożył, aby sobie nie zaszkodził, żal mu jednak było malca odwodzić od jedzenia, więc tylko spytał:

— Kiedyś ty jadł ostatni raz synku?

— Wczoraj rano.

Po tej smutnej odpowiedzi, znowu nastało

milczenie. Nakoniec, gdy chłopczyk postawił próżną szklankę i połknął ostatni kęs chleba, pan Wojdyga zasiadł na swym starym krześle i trzymając małego za rękę, zaczął pytać:

— Powiedz mi najpierw, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz?

— Nazywam się Kazio Woczyński i mieszkam...

— Woczyński? — przerwał żywo starzec — ja też znałem dzielnego żołnierza, oficera tego nazwiska, w jego pułku służyłem nawet, ale to chyba mógłby być twój dziadek. Masz ty ojca Kaziu?

— Nie. Tatuś umarł jak róże kwitły, ale już dawno.

— I czemże był twój ojciec?

— Mama mówiła, że pisał zawsze i bardzo ładnie pisał, ale był biedny.

— A mama, cóż teraz robi?

— Śpi. Wczoraj i dziś ją budziłem, ale nie chce się zbudzić. A u nas tak zimno. Mnie teraz ciepło; ale biedna taka zimna jak lód — dodał z żalem. — Gdyby ten list pan napisał do Matki Boskiej i prosił, żeby mamę obudziła i dała dla mamy coś do zjedzenia. Pan taki dobry, pan napisze zaraz?

— Moje dziecko — rzekł ze wzruszeniem pan Mateusz — twój list napisany, wysłany, a nawet już odpowiedź nadeszła.

Kazio patrzał zdumiony, a po chwili spytał z uśmiechem:

— Więc mama już nie śpi i nie głodna?

— Nie synku; mnie się zdaje, że jej teraz bardzo dobrze. Pójdziemy zaraz do mamy. Szósta

dopiero — ciągnął dalej pisarz, spojrzawszy na zegarek — ale wieczorem rzadko kto przychodzi; a zresztą, ta pilniejsza sprawa.

Już miał wychodzić razem z chłopcem, gdy naraz spojrzał na liche jego i przemokłe ubranie. Postał chwilkę w zamyśleniu, potem poszedł do kufra, otworzył go, grzebał w nim długo, aż dobrał się do samego spodu; wtedy wyciągnął mały skórzany woreczek, wyjął z niego dwa złote pieniądze, resztę schował znowu głęboko, kufer zamknął starannie, tak samo i drzwi od swej izdebki i poszedł prosto do znajomego żydka handlującego rozmaitą odzieżą. Tu kupił dla Kazia całkowite ubranie, począwszy od pończoch aż do ciepłego płaszczyka i czapeczki. Ucieszone dziecko serdecznie dziękowało staremu, ten zaś z radością spoglądał na nie.

— Jak się mama ucieszy, gdy zobaczy te piękne rzeczy — wołał Kazio — ona mnie pewno nawet nie pozna.

Na te słowa twarz pana Mateusza zposępniała znowu; wziął chłopca za rękę i kazał się prowadzić do matki.

W nędznym podwórzowym domu, w małym pokoiku na poddaszu, mieszkała matka Kazia, pani Woczyńska, wdowa po literacie. Woczyński, syn pułkownika wojsk polskich, zdolny bardzo młodzieniec, straciwszy wcześnie rodziców, poświęcił się literaturze; ale mimo nauki i usilnej pracy nie wiodło mu się, nie miał szczęścia. Dopóki jeszcze sam był, walka z losem nie była tak trudna. Lecz niebawem upodobał sobie piękną i dobrą panienkę, sierotę, której opiekun człowiek bardzo bogaty,

przyrzekł znaczny posag, gdyż wychowankę swoją uważał za córkę prawie. Tymczasem w kilka dni po ślubie młodej pary, opiekun umarł nagle, bez testamentu; dalecy krewni zabrali majątek, a biedna pani Woczyńska nie dostała ani grosza.

W pierwszej chwili zmartwienie i głęboki smutek ogarnęły młodego uczonego, lecz łagodne, pełne odwagi i ufności w Opatrzność Bożą, słowa żony, złagodziły nieszczęśliwe położenie literata. Wziął się ze wszystkich sił do pracy, ale niedostatek ciągle czuć się dawał. Wkrótce też myśl, że młodą kobietę związał ze swoim losem, ze jej przyzwoitego zapewnić nie może utrzymania, tak go dręczyła i gryzła, że zapadł na zdrowiu. Pracował wprawdzie ciągle, w łóżku nawet, ale po kilku latach choroby, zmarł na suchoty, pozostawiwszy młodą żonę i pięcioletniego synka Kazia. Teraz też dopiero zaczęła się prawdziwa bieda dla nieszczęśliwej wdowy. Zbyt dumna, aby wyciągnąć rękę po wsparcie, własnemi siłami chciała utrzymać siebie i dziecko. Lecz niestety! brak zdolności do zarobkowej pracy, wątłe siły, potknęły biedną kobietę w przepaść nędzy. Dwa tylko lata przeżyła męża, tak samo jak on umarła na suchoty z nadmiaru pracy i niedostatku.

Podczas więc, gdy mały Kazio szukał pomocy u Matki Boskiej, o której mu matka bardzo często opowiadała, zachęcając dziecko do ufności w miłosierdzie Najśw. Dziewicy, pani Woczyńska leżała już od dwudziestu kilku godzin bez życia.

Kazio z radością biegł do domu i wpadłszy do pokoju jął wołać:

— Mamusiu najdroższa! Nie śpisz już? Wszak cię Matka Boska obudziła? Patrz ino co ja mam na sobie, tak mi teraz ciepło! To Matka Boska kazała temu staremu panu, temu, co to listy pisuje, dać to wszystko. Ale panie — zawołał nagle z trwogą, zwracając się do swego opiekuna — mama taka znowu zimna i jeszcze nie obudzona.

Pan Mateusz usunął Kazia, który matkę całował i sam przystąpił do łóżka, dotknął się rąk i głowy zmarłej, potrząsł smutnie głową i rzekł po chwili:

— Mój synku, twoja mama poszła sama do Matki Boskiej...

— Ach! może jej się dłużyło czekać...

— Nie, nie, biedne dziecko. Twoja mama już od wczoraj jest u Pana Boga i Najśw. Jego Matki, tu leży tylko znikome ciało, dusza zaś cieszy się w niebie wraz z twoim ojcem. Mama twoja, tak samo jak ojciec, umarła.

— Więc tu już mamy niema? A jak ja ją znajdę, jak się dostanę do nieba? — wołał Kazio nieutulony w płaczu.

Długiego czasu potrzebował zacny starzec, nim dziecko uspokoił i nakłonił do opuszczenia matki. Przyobiecał mu, że kiedyś zobaczy się z rodzicami, i że go będzie uczył co trzeba robić, aby wnijść do nieba; nakoniec biorąc za rękę spłakaną sierotę rzekł:

— Matka Boska, która, jak wiesz już od swej mamy, kocha wszystkich dobrych ludzi, a najbardziej opuszczone sieroty, będzie teraz twoją matką. Ona to przysłała cię do mnie, więc cię biorę do

siebie, jako dar z nieba; odtąd będziesz moim synkiem!

I rzeczywiście stary wojak zajął się całkiem biednym chłopcem, który na całym świecie nie miał nikogo.

Sprawiwszy przyzwoity pogrzeb pani Woczyńskiej, Kazia wziął do siebie i zaczął go uczyć. Lecz jakże się zdziwił, gdy spostrzegł, że chłopiec lubo tak młody i umiejący zaledwo czytać, był nad wiek rozwinięty i tak chciwy nauki, że go od książek trzeba było odrywać. A tyle niezwykłych pytań zadawał swemu opiekunowi, że ten często był w kłopocie nie umiejąc dziecku odpowiedzieć.

— Zkąd się to tam, w tej małej główce to wszystko bierze — mówił do siebie pan Mateusz. — Widocznie odziedziczył po dziadku i ojcu zdolności. Jeden był znakomity żołnierz, drugi uczony literat. Hm! szkoda, żeby się taki talent zmarnował! Ojca nie znałem, ale dziad, mój pułkownik, mógłby mieć żal do mnie, żem małego nie wykierował na człowieka. Hm! trzeba coś obmyśleć, tak trzeba, koniecznie trzeba.

Owo »trzeba« powtarzał szlachetny starzec coraz częściej i wtedy zawsze zamyślał się na długo; dreptał wkoło po swojej izdebce, tarł ręką czoło i wzdychał.

Pan Mateusz Wojdyga utrzymywał się z pióra: pisywał listy, prośby, rachunki, jednem słowem wszystko, co tam było potrzeba ludziom nieumiejącym pisać; wreszcie przepisywał powierzone mu przez literatów prace, a mimo, że pilnie pracował, zarobek jego był dość nędzny; ponieważ jednak

żył bardzo oszczędnie, zdołał uskładać sobie mały zapasik (na czarną godzinę), któryśmy już widzieli w skórzanym woreczku. Tymczasem karmienie i odziewanie chłopca, podwoiło zwykły wydatek na życie. Tarł więc czoło i wzdychał coraz częściej biedny żołnierz, bo czuł, że jak raz zacznie dokładać z woreczka, to ten niebawem będzie pusty i broń Boże choroby lub jakiego nieszczęścia, zostaną oboje z Kaziem bez grosza przy duszy.

Pan Mateusz czuł, że się na coś zdecydować trzeba; więc też pewnego wieczora po długiej po izdebce przechadzce i rozmowie z sobą, powziął stanowcze postanowienie. Przygotował swoje najlepsze ubranie, ogolił się, buty wyczyścił tak, że aż blask bił od nich, a na drugi dzień rychło rano ubrawszy się jak najstaranniej, wyszedł z domu. Odchodząc zaś, rzekł do Kazia:

— Pomódl się tu moje dziecko gorąco do Matki Boskiej i proś Jej, aby pobłogosławiła moim zamysłom. Bo od tego, jak się uda moja wycieczka, cała twoja przyszłość będzie zależała.

Długo bawił pan Mateusz w Warszawie, gdyż dopiero około południa powrócił na Pragę. Wszedłszy do izdebki zastał Kazia na kolanach przed obrazem Najśw. Panny Częstochowskiej. Biedny sierota cały czas, podczas nieobecności swego opiekuna, przepędził na odmawianiu wszystkich, jakie tylko umiał, modlitw do Matki Boskiej. Mianowicie zaś odmawiał godzinki, bo to była ulubiona modlitwa jego zmarłej matki.

Stary wojak przyszedł z tak tryumfującą miną, jakby wielką bitwę wygrał. Najpierw uściskał

Kazia, popatrzał mu z rozczuleniem w oczy i szepnął do siebie:

— Istny dziad! Te same oczy, to samo czoło! Będzie ze mnie pułkownik zadowolony. — A zwracając się do chłopca, mowił dalej:

— Podziękuj Panu Bogu i Matce Najśw. moje dziecko, bo pójdziesz do szkoły i byleś tylko chciał, wyjdziesz na człowieka. Zacny ksiądz kanonik B., który znał twego dziadka, a do którego dziś poszedłem po radę i pomoc, przyrzekł mi zająć się tobą i łożyć na twoje wykształcenie. Świątobliwy to kapłan i mnie zaraz sobie przypomniał, gdym mu powiedział moje nazwisko. Bo musisz wiedzieć Kaziu, że ksiądz kanonik, nim został księdzem, był żołnierzem i razem trzepaliśmy wrogów. Miły Boże! Co to były za czasy! Ksiądz kanonik dziś się popłakał i uściskał mnie jak brata, choć był niegdyś moim dowódzcą, a dziś nosi kapłańską sukienkę. Ale zwyczajnie stary żołnierz i dusza w nim została szczera, żołnierska, upiększona teraz świętym stanem.

Kazio słuchał ciekawie, a kiedy rozgawędzony pan Mateusz ucichł na chwilkę spytał:

— A kiedy pójdę dziaduniu do szkoły?

— Zaraz mój synu, zaraz; lecz pierw muszę cię zaprowadzić do księdza kanonika. Ale pamiętaj mały, przykładaj się pilnie do nauk, abyś wyrósł na dzielnego Polaka i okazał się godnym dobroci twego nowego opiekuna i dobroczyńcy.

* * *

W dwadzieścia lat później zasłynął w Warszawie głęboką nauką i wielkim talentem młody literat Kazimierz Woczyński. Jak jego ojciec i opiekun był pisarzem; lecz nie listy i rachunku pisuje, ale znakomite dzieła, które przyczyniły chwały Bogu, a korzyści Ojczyznie i całej ludzkości.

Niezmienne szczęście towarzyszy Kazimierzowi w życiu; ma on wszystko co ludzie cenią i o co się ubiegają. Oprócz głośnej sławy i wielkiego majątku, posiada piękną i kochającą żonę, dobre dzieci, szczerych przyjaciół i miłość wraz z czacunkiem swoich współobywateli. Nazywają go też powszechnie dzieckiem szczęścia, lecz Kazimierz, ile razy usłyszy tę nazwę, zawsze przeczy, mówiąc, że nie jest dzieckiem szczęścia, ale Najśw. Panny Maryi, bo od czasu jak jako siedmioletnie dziecko oddał się w Jej opiekę, życie jego ściele się jak po różach. I dobrze czuje, że przyczynie Matki Bożej zawdzięcza to, czem jest i co posiada.

— Prawda, prawda — powtarzał mu zawsze, przez długie lata, siwy staruszek pan Mateusz — gdyby nie ten list do Matki Boskiej, który miałem pisać, kto wie, coby z ciebie było, mój synu.

Wtedy młody uczony, całując rękę starca ze czcią i miłością, mówił z rozrzewnieniem:

— Tak, ojcze, tobie to i ś. p. księdzu kanonikowi, zawdzięczam po Bogu i Matce Najśw. wszystko, bo gdyby nie wasza dobroć...

— Ot, daj pokój — przerywa pan Mateusz — zrobiło się co nakazywała miłość bliźniego i oto jak sowicie nagrodził mi Bóg tę trochę dobrego com uczynił.

Tu zagłębia się staruszek z widoczną przyjemnością w mięki głęboki swój fotel, kosztowną materyą obity. Następnie obchodząc oczyma wspaniale umeblowany pokój, wyłożony puszystym dywanem, przepełniony wonią kwiatów, szepce do siebie:

— Te wszystkie wygody i bogactwa, któremi otacza mnie wdzięczny wychowaniec, niczem są, wobec skarbu, jaki znalazła dusza moja we wierze, a do której nawrócił mnie siedmioletni sierota swoją dziecięcą ufnością w opiekę i pomoc Matki Bożej. *S. G.*

List do Dzieciątka Jezus.

W mieście Landshut pewien ubogi chłopczyk nie mając na wigilię drzewka ani ozdób na drzewko, a słysząc, że Pan Jezus kocha grzeczne dzieci, napisał list do Dzieciątka Jezus i zaadresował: »Do kochanego Dzieciątka Jezus w Betlejemie«, i ów list wrzucił do skrzynki pocztowej. Rozumie się, że listu do nieba nie posłano, ale urzędnicy przeczytawszy ów list, ulitowali się nad biednym chłopczykiem, dowiadywali się za nim, a gdy go odnaleźli, sprawili mu drzewko na Boże Narodzenie i potrzebne nań ozdoby. Piękny ten czyn nie zostanie bez nagrody, bo powiedział Pan Jezus: »coście najmniejszemu z tych uczynili, mnieście uczynili«.

Pojedynek franciszkański.

Przed kilku laty zaszło w Paryżu następujące zdarzenie. Pewien O. Fidelis miał w kościele św. Genowefy odprawić Mszę świętą. Przypadło mu więc iść ulicą miasta najwięcej ożywioną. Postępując zwolna i w skupieniu, spotkał oficera w podochoconym stanie wychodzącego z pobliskiego hotelu. Skoro ujrzał oficer ubogiego zakonnika, począł się śmiać z niego i wyrażać się o nim wcale w niepiękny sposób.

— Pan ze mnie szydzisz? — rzekł O. Fidelis, zwracając się do oficera — żądam zadosyćuczynienia.

— Z całego serca, jak najchętniej — odrzekł szyderca.

— Dobrze! — rzekł O. Fidelis — a że ja jestem obrażony, mnie więc z prawa wypada wybrać rodzaj broni.

— Wybieraj Ojcze, każda broń jest mi na rękę.

— Jam się już zdecydował — odpowiedział O. Fidelis — wybieram spowiedź i dziś wieczorem oczekuję pana w klasztorze.

Oficer zrobił najprzód dziwną minę, lecz jako »mąż honoru« przystał na propozycyą. Wieczorem stanął w klasztorze — a na drugi dzień rano przyjął z rąk O. Fidelisa Komunią świętą, niebieski chleb mężnych i prawdziwie walecznych.